Nr. 10. | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, 16. maja 1928. Rok 50.

ŁOWIEC

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11., III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie)

KALENDARZ ŁOWIECKI W maju wolno polować na rogacze (sarny), koguty-głuszce (do 15-go), koguty-cietrzewie, słonki (do 15-go), bataljony i kaczory dzikie.



Do nabycia w Biurze M. T. Ł. — Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p.

C. C. G.: Wspomnienia z rykowisk	6·—
Ejsmond: Prawo łowieckie	1·50
Mniszek Albert: Jarząbek	3·—
Orski St. W.. A było to wczas rano...	6·—
Pisuliński Antoni: Szlakiem słonia afrykańskiego (broszura)	5·50
Pisuliński Antoni: Szlakiem słonia afrykańskiego (karton)	7·—
Potocki hr. Jerzy: Wspomnienia myśliwskie z Indji	5·—
Sztolcman Jan: Żubr	3·30
„ „ Nad Nilem Niebieskim	6·—
„ „ Jak unikać wypadków z bronią	0·25
Ziembicki W.: Jan Sobieski jako myśliwy	1·80
„ „ Bibljografja prac Kazimierza hr. Wodzickiego	1·50

z doliczeniem opakowania i porta

NR. 10. WE LWOWIE, 16. MAJA 1928. ROK 50.



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

ś. † p.

Jan Sztolcman.

Ur. 1854. — † 1928.



Sztolcman nie żyje! Oto niespodziewana i bolesna wiadomość, jaka nadeszła z Warszawy. Cios to poważny dla polskiej nauki. Cios bolesny dla licznej rzeszy miłośników łowiectwa i miłośników literatury, łowiectwu poświęconej, — tej rzeszy, której wszak Sztolcman przewodził, krocząc do końca życia w pierwszych jej szeregach. Umarł w nim człowiek niepospolity i potrzebny. Niepospolity, bo każde jego przedsięwzięcie od najmłodszych lat życia miało piętno oryginalności i samodzielności sądu. Potrzebny, bo kojarzyła się w nim wytrwałość z pracowitością i doświadczeniem.

Zamiłowanie do podróżnictwa i nauk przyrodniczych obudziło się w Sztolcmanie już w najwcześniejszej młodości.

„... Krainy podrównikowe były zawsze moim snem złotym“ — pisał w swem dziele o Peru. „Mając rok ósmy, dostałem od rodziców „Robinsona szwajcarskiego“: książka ta stała się dla mnie prawdziwem źródłem rozkoszy. Odczytując ją do nieskończoności, a zawsze z jednakowem zajęciem, łączyłem się duszą z bohaterami powieści... zdawało mi się, że się obok nich znajduję i podzielam ich przygody. Już wówczas kiełkowała we mnie ta żądza podróżowania, która z czasem miała mnie zagnać na drugą półkulę świata“.

I rzeczywiście żądza ta była tak silną, że nie pozwoliła Sztolcmanowi ukończyć uniwersytetu, na który wstąpił był w roku 1872. Gdyby nie ta okoliczność, żegnalibyśmy dziś w ś. p. Sztolcmanie nietylko znakomitego podróżnika i przyrodnika, ale z pewnością

jednego z najlepszych pedagogów. Już w r. 1875. wyrusza do Peru, na koszt hr. Konstantego Branickiego, dla kontynuowania kolekcyj przyrodniczych w miejsce słynnego Jelskiego, który przeszedł był na służbę państwową peruwiańską. Ukończywszy chlubnie swe zadanie, wraca w r. 1881. do Warszawy z przebogatemi zbiorami. W dwa lata później wybiera się ponownie do Ameryki wspólnie z prof. Siemiradzkim, z powodu jednak wybuchu wojny pomiędzy Peru a Chile, nie dociera do Peru i przebywa w Ekwadorze. W r. 1884. wraca do ojczyzny w złym stanie zdrowia, dzięki jednak szczęśliwym wskazówkom ś. p. Chałubińskiego odzyskuje siły, lecząc się w Zakopanem, później w Paryżu.

Dzięki pierwszej wyprawie do Ameryki powstało klasyczne 2-tomowe dzieło Sztolcmana: Peru, wydane z powodów od autora niezależnych niestety dopiero w r. 1912., a więc w 27 lat po napisaniu. Książka straciła przez to na aktualności, niemniej jednak zachowała swą nieocenioną wartość, a doświadczenia, zebrane wówczas przez Sztolcmana, dostarczają niejednej cennej wskazówki i dziś jeszcze tym wszystkim, którzy świeżo zainteresowali się stosunkami między Peru a Polską.

Trzecią podróż przedsięwziął ś. p. Sztolcman w r. 1901., towarzysząc śp. Józefowi hr. Potockiemu do Afryki. Wynikiem tej podróży było dzieło „Nad Nilem Niebieskim", którego drugie wydanie niedawno witaliśmy.

Spożytkowanie swej głębokiej wiedzy przyrodniczej znalazł Sztolcman najpierw na stanowisku dyrektora Muzeum Branickich, po wojnie zaś na stanowisku dyrektora działu zoologicznego w Polskiem Państwowem Muzeum Przyrodniczem, do którego, jak wiadomo, wcielone zostały zbiory Branickich.

Prace Sztolcmana, publikowane drukiem, są bardzo liczne. Prócz wymienionych dzieł podróżniczych ogłosił cały szereg prac zoologicznych, zwłaszcza ornitologicznych, wśród nich wysoko cenione przez naukowy świat przyrodniczy „Szkice ornitologiczne". Materjał przyrodniczy, zebrany przez niego w Ameryce stał się nadto przedmiotem specjalnych studjów dla innych badaczy. Należał do nich nasz znakomity ornitolog Taczanowski, jakoteż znany amator-przyrodnik niemiecki Berlepsch. Prace ich były ogłaszane w najrozmaitszych pismach, przeważnie angielskich.

Zasługi Sztolcmana na polu literatury łowieckiej są niespożyte. Niezliczone są jego rozprawy, broszury, podręczniki z tej dziedziny. Swą wiarę w polskie łowiectwo, swą miłość dla niego i nadzieję w jego przyszłość, wcielił w *„Łowca Polskiego"*, którego pierwszy zeszyt wydał dnia 1. kwietnia 1899. i którego odtąd był redaktorem. Dnia 29. kwietnia b. r. śmierć wytrąciła mu pióro z ręki.

Cześć pamięci znakomitego podróżnika i pisarza; pamięci wielkiego znawcy tajemnic przyrody; pamięci Opiekuna łowiectwa!

Witołd Ziembicki

ALBERT MNISZEK.

Z dziedziny broni i amunicji.

Ciąg dalszy.

2. Lufa.

(Materjał. Spajanie luf. Lufa kulowa. Lufa śrutowa. Główne przyczyny rozerwania broni i próby wytrzymałości).

Obok amunicji, konstrukcja i wiercenie lufy są tym decydującym czynnikiem, który daje wyraz wartości strzeleckiej broni. Zamek i łoże mają na wartość tę pośredni tylko wpływ. O ile są one poprawnie do luf dopasowane, szczególnie w broni łamanej, błędy w celności i rozrzucie przypisać należy tylko wadliwemu wierceniu i konstrukcji luf. Przy sztucerach repetierowych, w całości opatrzonych drewnianą osadą, gdy ta za ściśle do lufy przylega, działać może ujemnie na celność broni, stając się przeszkodą w elastyczności i wibracji lufy.

Materjał. Najstarszym materjałem do sporządzania luf w broni palnej było kute żelazo. Olbrzymim krokiem naprzód w tej dziedzinie było wynalezienie damastu, kombinacji żelaza i stalowego drutu. Stal dawała lufie potrzebną twardość i elastyczność, żelazo wytrzymałość. Za czasów używania w broni li tylko czarnego prochu, materjał ten jaknajzupełniej odpowiadał zadaniu, z chwilą jednak wprowadzenia prochu bezdymnego, stracił rację bytu i został przez stal zupełnie wyrugowany. Najlepszy nawet damast nie daje gwarancji bezpieczeństwa w dłuższem użyciu przy stosowaniu bezdymnych nabojów, choćby broń dana została opatrzoną urzędową cechą próby wytrzymałości na proch bezdymny.

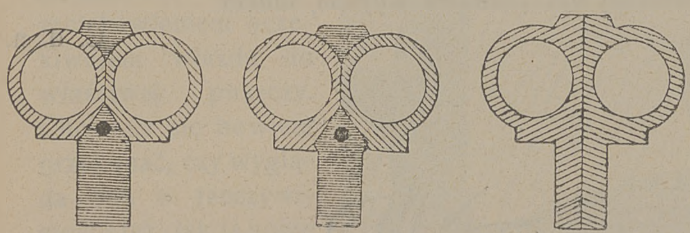
Stal, jako materjał dla broni palnej, została pierwszy raz użytą w r. 1841. przez H. Dreyse'go. Zbudował on z niej iglicowy karabin piechoty. Używał on stali pozbawionej o ile możności węglika, aby więcej miękki materjał ułatwiał gwintowanie lufy. Przy wprowadzeniu jednak prochu bezdymnego i pocisków płaszczykowych, technika zmuszoną była wprowadzić też i stal o obfitszym procencie tego składnika dla uzyskania większej twardości i odporności.

Przemysł stalowy uczynił w ostatnich dziesiątkach lat olbrzymie postępy. Doprowadzono do wytworzenia zupełnie czystej stali, którą przez domieszkę chromu, wolframu, niklu i innych składników specjalizuje się w używaniu w broni palnej. Dzisiejsza stal taka wolną powinna być od pozostałości żużlowych i pęcherzyków powietrznych, a zawartość w niej siarki nie może przekraczać 0·03%.

W fabrykacji stali, przeznaczonej do broni palnej, najwyżej poszły przemysły niemiecki i austrjacki, pobijając angielski. Najszlachetniejszemi gatunkami jej są obecnie nie rdzewiejące: Nirosta (Krupp, Essen), Boeler Antinit (Gebr. Roeling, Ludwigshafen) i tych samych fabrykantów Elektrospecial. Stale te mają jeszcze tę wielką zaletę, że ciężar ich gatunkowy jest od innych mniejszy, wpływają więc na lekkość broni myśliwskiej. Sławna stal angielska Witworda (ze snopkiem) nie dorównuje powyższym w zaletach elastyczności a przedewszystkiem odporności na działanie rdzy, chociaż jest od nich o wiele droższą. Inne stale wyż wymienionych firm, mniej szlachetne, ale zupełnie, jako materjał do sporządzania luf pierwszorzędnej jakości wystarczający, są od tamtych o wiele tańsze.

Sposób spajania luf. Jest to dzisiaj jeszcze ciężka i trudna sztuka rusznikarska potrafić spoić dwie lub trzy lufy razem, umiejętnie, bez uszkodzenia materjału i z nadaniem ich osiom możliwego ustosunkowania, celem uwspólnienia celności.

1 2 3



System stary — System obecny — System „Demibloc“

W sztucerach podwójnych krzyżowanie się osi obu luf wypaść powinno na 9 do $9^{1}/_{2}$ metrów od wylotu, przy śrutówkach na 2 do $2^{1}/_{4}$ m. Gdy się zważy, że temperatura topienia się lutu (mosiądz lub miedź) wynosi $+ 800^{0}$ do $+ 850^{0}$ C., zdać sobie można sprawę z jaką pedanterją i ostrożnością rusznikarz musi przeprowadzić swą robotę, by ciepłoty tej nie przekroczyć, i nie przepalić materjału lufowego, który w takim razie traci zupełnie swe zalety i staje się bezużytecznym kawałem żelaza.

Lufy przeznaczone do spojenia wygładza się najpierw i lekko spłaszcza na przestrzeni spojenia, a spaja się je przez lutowanie. Następnie do luf dolutuwuje się trzony, służące do łączenia ich z nasadą zamku w broni łamanej, wreszcie dolutuwuje się (na miękko) szyna. Przy trzylufkach jest lufa kulowa zwykle wraz z trzonami z jednego kawałka wykutą. Przytoczone powyżej ryciny przedstawiają trzy systemy spajania luf: Rycina 1. przedstawia stary, dziś prawie już zarzucony system, rycina 2. tegoczesny system z trzonami do wewnątrz wyciętemi. Najlepszym jest na rycinie 3 przedstawiony system tak zwany *demibloc*, polegający na dokuciu do luf trzonów tak, że lufa i trzon tworzą masywną całość. System *demibloc* stosowany bywa przy broni droższej, przy śrutówkach o kalibrze 12, szczególnie przy piżonierkach, a już przy ciężkich sztucerach o wielkim naboju prochu jest nieodzowny. W technice spajania luf zrobiono w najświeższej dobie wielki wynalazek, opatentowany przez K. Dienera. Dotąd stosuje go jedynie firma Gebr. Boehler we Wiedniu. — Polega on na sposobie lutowania na zimno zapomocą elektryczności, tylko jednak przy systemie *demibloc*. Jest to wynalazek w swym rodzaju epokowy, gdyż wyklucza możliwość przepalenia luf.

Lufa kulowa. Składa się ona z 3-ch części: z komory nabojowej, z części przejściowej i z części ciągniętej (gwintowanej) lufy.

Komora nabojowa, zwana też gniazdem nabojowem musi swym kształtem i rozmiarami odpowiadać jaknajdokładniej kształtowi i rozmiarom przeznaczonej dlań łuski nabojowej. Źle wiercona (za obszerna) komora daje powód do rozdymania się łuski i wyrywania z niej spłonki, a co zatem idzie, do zaburzenia w pracy gazów wybuchowych. Przednia część komory przeznaczona na pomieszczenie pocisku musi mu też dokładnie kształtem i wymiarami odpowiadać. Za krótka komora powoduje niekorzystne dla celności hamowanie pocisku, lub wtłacza go w łuskę, co zwiększa ciśnienie gazów, lub sprowadza niemiły tak dla myśliwego wypadek pozostawania pocisku wyciągniętego z łuski w lufie, przy odładowywaniu broni. Krótsze natomiast pociski nie pogarszają w żadnej mierze ani równomierności ciśnienia gazów, ani celności. Poleca się więc myśliwym broń raczej o komorze długiej, stosownej do wszystkich długości pocisków.

Ciągnięta część lufy. Wnętrze tej części lufy opatrzone jest ciągami t. j. śrubowatemi wycięciami i polami. Służą one do nadawania pociskowi stałego położenia jego osi w kierunku prostopadłym do kierunku jego drogi zapomocą rotacji t. j. obrotu wkoło siebie. Pocisk musi się więc wśrubować w ciąg lufy i drogę przezeń wskazaną wykonać.

Jeden ciąg w lufie wraz z polami nazywamy gwintem. Kształt gwintów, ich liczba, głębokość i szerokość stosuje się do chyżości, jaką broń ma nadać pociskowi, do jego długości i jakości materjału. Materjał miękki, jak ołów potrzebuje gwintu głębszego, by przez głębokie wciśnięcie się pewniej w pola się wprowadził. Pociski jednak ołowiane nie osiągają zbyt wielkiej chyżości, gdyż przy większem ciśnieniu gazów nie byłyby w stanie stosować się do gwintu, lecz musiałyby się przezeń przedzierać. Pociski płaszczykowe natomiast potrzebują gwintu płytkiego, mimo, że osiągają o wiele większą chyżość. Gwinty do pocisków ołowianych wymagają 0·25 do 0·35 mm głębokości gwintów do pocisków płaszczykowych tylko 0·10 do 0·15 mm.

Liczba gwintów w dawniejszych sztucerach wynosiła 5 do 9, w dzisiejszych jest ich zwykle 4. Szerokość gwintu wynosi zwykle 3·9 do 4 mm, w sztucerach małokalibrowych wykonują fabryki często gwinty wyżłobione, lub łukowate, by o ile to możliwe, zmniejszyć tarcie, przy kalibrach większych, by to samo uzyskać, daje się gwintom i polom krawędzie możliwie okrągłe. Ostre krawędzie ułatwiają zaołowianie i zaniklowywanie

gwintów, co wpływa na zmniejszenie chyżości i celności pocisku.

Do uzyskania celności broni musi być ustosunkowaną długość gwintu do kalibru i chyżości pocisku. Im dłuższy jest pocisk w stosunku do średnicy lufy, tem mniejszą musi być długość gwintu, im większą jest chyżość pocisku. tem większą ta długość będzie. Pod tym względem istnieją już raz na zawsze ustalone normy w świecie rusznikarskim, uwzględniające wszystkie rodzaje i kalibry broni. Wpływ rotacji na zachowanie się pocisku w locie, omówimy na innem miejscu.

Część przejściowa. Komora nabojowa jest połączona z ciągniętą częścią lufy t. zw. stożkiem przejściowym. Pierwsze pola gwintowe zbliżają się miarą średnicy do średnicy pocisku, tak że pocisk w początku swej drogi na mały stosunkowo natrafia opór. Pocisk miękki (ołów) wymaga dłuższej części przejściowej, aniżeli pocisk twardy (płaszczykowy). Ogólnie starają się jednak rusznikarze część przejściową wykonywać możliwie długą, aby dać czas na spalenie się powolne prochom.

Długość lufy. Chyżość pocisku wzmaga się z długością lufy, póki gazy prochowe ruch jego ku wylotowi przyśpieszają. W każdym więc razie długa lufa nadaje pociskowi większą chyżość, niż krótka. Gdyby jednak lufa była tak długą, że gazy w pewnym jej punkcie, zanim pocisk znajdzie się u wylotu, ukończywszy swą pracę, przestałyby już przybierać na sile, chyżość pocisku wskutek tarcia jego o gwinty poczynałaby słabnąć.

To więc miejsce, w którem gazy prochowe dosięgają szczytu napięcia, znajdowaćby się powinno u wylotu lufy. Taka jednak lufa byłaby o wiele za długą i mogłaby być zastosowaną tylko w bardzo ciężkiej broni tarczowej.

Długość lufy w praktyce nie stosuje się do konieczności zupełnego spalenia się w niej prochu, lecz do poręczności i wagi broni. Dłuższe lufy podnoszą ciężar broni i przesuwają punkt ciężkości wprzód, dając przewagę lufie i czynią broń nieporęczną. Dają natomiast możliwość stworzenia długiej linji celowniczej, chroniąc strzelca od popełniania większych błędów w celowaniu. Krótka lufa, przeciwnie, myśliwego na popełnianie tych błędów naraża. Jak wszędzie, tak i w tym wypadku należy się trzymać złotego środka. Normalnie przyjęte długości luf broni myśliwskich są: przy trzylufkach 64—68 cm, przy sztucerach repetierowych i podwójnych 50—60 cm.

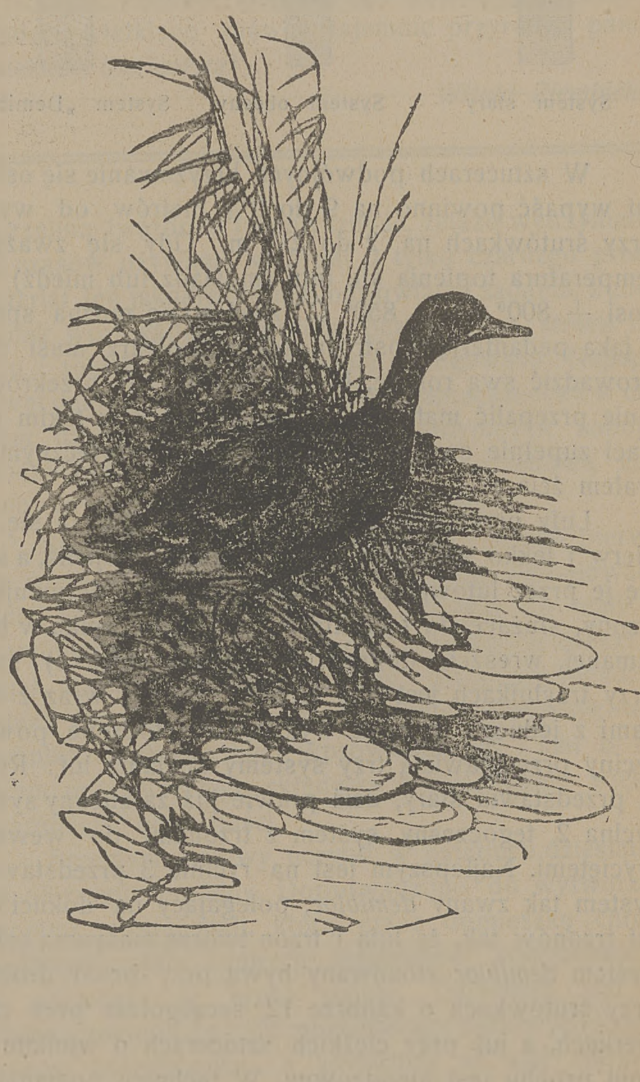
Umieszczona obok tabelka wykaże, jak nikłemi są różnice w chyżości pocisku, powstałe przez skrócenie luf. W praktyce myśliwskiej są one prawie bez znaczenia. A i tak tego ubytku chyżości pocisku przy krótkiej lufie da się uniknąć przez użycie szybciej spalającego się prochu, lub przez wzmocnienie jego naboju.

I na celność (rozrzut) miara długości lufy ma wpływ bardzo nikły. Próby wykazały, że skrócenie lufy karabinu kal 8 o 30% dały na 80 m 25 cm rozrzut zamiast 8 cm przy 68 cm normalnej długości lufy. Jedynym więc zarzutem, jakie stawiamy krótkiej lufie, jest ułatwianie popełniania błędów większych w celowaniu. Dlatego też

	RODZAJ BRONI	Długość lufy mm	Skrócenie w procencie pierwotnej długości	Chyżość V_{25}=msc	Procentowy ubytek chyżości
1	Karabiny wojsk.	720-740	—	620	—
2	Trzylufki . . .	640-680	8	608	2
3	Sztucery repetierowe, karabinki, sztuc. podwójne	560-600	19	594	4
4	Sztuc. z specjalnie skróconą lufą	480-500	33	572	8
5		300	59	500	19

broń przeznaczona do celów stałych i dalekich powinna mieć lufę dłuższą od broni przeznaczonej do celów bliskich i ruchomych. Zresztą w broni o krótkiej lufie w strzelaniu na dalekie i stałe cele może dla linji celowniczej być punktem wyjścia, luneta.

C. d. n.



ANTONI SZASZKIEWICZ.

MÓJ PIERWSZY GŁUSZEC

Korzystając z zaproszenia Stanisława hr. Reya, pojechałem w pierwszej połowie kwietnia na toki głuszców do Nalibockiej Puszczy na Białorusi. Po przybyciu do granicznej stacji w Stołpcach, gdzie na nas konie czekały, udaliśmy się do puszczy o kilkadziesiąt wiorst odległej, przez piaszczyste trakty, przez drożyny z dyli drzewnych ułożone, po których przejazd nie był zbyt przyjemny i wygodny. Późną nocą stanęliśmy w Kamieńskim dworze, gdzie po przenocowaniu i krótkim wypoczynku, pojechaliśmy dalej do puszczy, zaledwie o kilkanaście wiorst odległej. Puszcza Nalibocka ciągnie się wzdłuż granicy sowieckiej, łącząc swemi lasami województwa Nowogrodzkie z Wileńskiem. Z wielkiem zaciekawieniem oczekiwałem wjazdu do właściwej puszczy. Chciałem się bowiem przekonać, czy wygląda ona w rzeczywistości tak, jak ją sobie z licznych opisów wyobrażałem. Niestety, powiedzieć można, że po puszczy nazwa jej tylko pozostała, bo lasy tutaj w okropny sposób zniszczone i do reszty prawie wyeksploatowane. Gdzieniegdzie tylko z rzadka stojące nasienniki, sosny matrony świadczą o drzewostanach, jakie tu niegdyś istniały.



Jednak, mimo zniczonych lasów, puszcza ma wielki urok dla myśliwego. Wspaniałe są wprost bezbrzeżne bagna, trzęsawiska i mszary, nikłą sosną porosłe wśród mchów i pleśni leśnych, ponure i tajemnicze.

Mszary te, to ostoja głuszców, żórawi i cietrzewi.

Dojechawszy wreszcie na miejsce, zakwaterowaliśmy się w niskiej, samotnie wśród puszczy stojącej gajówce, pasieką tu zwanej, skąd niedaleka droga była na tokowiska głuszców. Gajowy Rodźka, złożył nam pomyślny raport. W rewirze, w którym mieliśmy polować, miał zasadzonych razem pięć głuszców. Po krótkiej naradzie i kolacji, udaliśmy się na spoczynek, tak bardzo przez nas pożądany. Ciemna i pochmurna noc była, kiedy z Rodźką udałem się na podchód.

Szedłem długo przez gęste lasy sosnowe, z trudem odróżniając sylwetkę gajowego w nieprzejrzanej ciemności. Z czasem, grunt, po którym szliśmy, stawał się coraz wilgotniejszy, wreszcie — wodę poczułem pod nogami. Byliśmy na mszarze, gdzie dnia poprzedniego Rodźka dwa głuszcze zasadził. Tutaj, gajowy odwróciwszy się, dał mi znak, bym szedł cicho i ostrożnie. Serce zabiło mi żywiej, zrozumiałem, że jesteśmy niedaleko już celu i marzeń moich. Jeszcze kilkadzieciąt kroków zapadania się w bagnie, uciążliwych przejść, naraz Rodźka stanął jak wryty. Stał tak długą chwilę cały w słuch zamieniony. Serce biło mi, jak młotem, trząsłem się cały z rozkosznej emocji, starając się napróżno uchwycić uchem choć jeden takt pieśni głuszca, który o jakie sto kroków od nas śpiewał! Zaczynamy skakać w pieśni, lecz nogi odmawiają mi posłuszeństwa, czynię to tak niezgrabnie, często potykając się, akompanjuje mi przytem trzask suchych gałęzi i głośne pluskanie wody... Rozpacz... Głuszec musi to chyba usłyszeć! Na szczęście jednak, głuszec, gracz niezrównany — nie słyszał tego, nie przeczuwał grożącego mu na mszarze niebezpieczeństwa, śpiewał, śląc pieśń za pieśnią hen na puszczę na chwałę Stwórcy, wiosny i jej piękna! Skaczemy jeszcze czas jakiś, wreszcie stajemy. Gajowy nieznacznym ruchem ręki wskazał mi miejsce na wysokiej sośnie, gdzie kogut śpiewał. Daremnie wzrok wytężałem, by go ujrzeć, było bowiem zupełnie ciemno. Stałem tak bezradny, a każda chwila wiekiem dla mnie była. Pierwszy świt dnia zdradził mi miejsce, gdzie śpiewał skrzydlaty król puszczy.

Ujrzałem go w całem jego pięknie — przodem do nas zwrócony śpiewał, klaszcząc i sycząc naprzemian. Dużo czasu potrzebowałem, by się trochę uspokoić i zebrać siły, a kiedy usłyszałem szept gajowego „strzelajcie, bo poleci", złożyłem się i spokojnie strzeliłem! Głuszec z trzaskiem łamanych gałęzi spadł na mokrą mszarę! Nie potrafię niestety opisać chwili, jaką przeżyłem, stojąc przy pierwszym moim strzelonym głuszcu, pamiętam, że łzy w oczach mi się zakręciły, łzy radości i szczęścia! Przez cały czas naszego pobytu w puszczy, mieliśmy pogodę zmienną, jak zwykle w kwietniu: mróz, deszcz i śnieg naprzemian, — ale ranki pogodne były i głuszce grały dobrze. Po czterech dniach z żalem opuszczamy Nalibockie lasy, wywożąc z nich trzy głuszce i wiele innego ptactwa. Dobra puszcza, tak gościnnie mnie nowicjusza przyjmowała! Powracam na zachód cały upojony, pod urokiem dni kilku, jak w bajce przeżytych. Ileż w nich rozkosznych chwil i nigdy nie zatartych wpomnień!

† Józef Rostafiński.

Słynny przyrodnik, znakomity pedagog, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Członek Akademji Umiejętności, — zmarł w Krakowie dn. 5. bm., w 78. r. ż.

Rostafiński wsławił się przedewszystkiem jako botanik. Urodzony w r. 1841. był uczniem Szkoły Głównej Warszawskiej, studja uzupełniał za granicą (Jena, Halle, Strasburg), w Strasburgu uzyskał doktorat (1873), tamże stopień docenta uniwersytetu (1876). Powołany następnie do Krakowa i mianowany profesorem botaniki, rozwinął świetną działalność naukową i pedagogiczną. Nie ograniczał się jednak w swych pracach naukowych wyłącznie do tego jednego przedmiotu. Prócz dzieł i rozpraw botanicznych zostawił cały szereg prac z zakresu historji nauk przyrodniczych i lekarskich, nadto zaś z zakresu zoologji. W spuściźnie jego drukowanej, na szczególniejszą uwagę miłośników historji łowiectwa polskiego i literatury łowieckiej zasługuje przedewszystkiem jedno dzieło. Ma ono tytuł: **„O myślistwie, koniach i psach łowczych** — książek pięcioro z lat 1584—1690“. Kraków. Nakładem Akademji Umiejętności, 1914. Dzieło to należy do znanej serji opracowań, poświęconych przez Akademję Umiejętności starym pisarzom polskim, a obejmuje przedruk i analizę starych pięciu książek, któremi są:

1. Mateusza Cygańskiego: Myślistwo ptasze z r. 1584;
2. Tomasza Bielawskiego: Myśliwiec z r. 1595;
3. Krzysztofa Pieniążka: Hippika z r. 1607;
4. Nieznanego autora: Gospodarstwo jezdeckie, strzelcze i myśliwcze *„do druku podane 1690 r.“*;
5. Jana hr. Ostroroga: Myślistwo z ogary z r. 1618.

Klasyczne te zabytki naszego piśmiennictwa opracował tu Rostafiński z benedyktyńską drobiazgowością. Całość jest niesłychanie pouczająca zarówno dla badacza literatury, jak dla badacza ówczesnej kultury, dla badacza języka, przyrody, łowiectwa wreszcie. W stosunku do swej olbrzymiej wartości książka jest stanowczo za mało znana i za mało rozpowszechniona w sferach przyrodniczo-łowieckich, pomimo, że już w r. 1915., a więc w rok po wydaniu, pojawiła się o niej w *„Łowcu“* najpierw obszerna wzmianka pana St. Ł.[1]) (str. 142), a potem (na str. 188.) entuzjastyczna ocena napisana przez p. Seweryna Krogulskiego, ówczesnego redaktora *„Łowca“* [2]).

Ś. p. Rostafiński pracował nieustannie do ostatnich dni swego życia. Praca jego była tem żmudniejszą, że z powodu schorzenia ręki nie władał od dłuższego czasu piórem, czego więc nie chciał pisać ołówkiem, to musiał dyktować sekretarzowi. Ostatni swój rękopis, którego nie zdołał już wykończyć, przeznaczył był — dla *„Łowca“*! Miała to być na niewyzyskanych źródłach oparta i niezmiernie ciekawa monografja z dziedziny polskiej fauny. Może uda się reprodukować bodaj fragmenty. Do sprawy tej powrócimy.

Cześć pamięci wielkiego uczonego!

Witold Ziembicki.

---

[1]) Stanisława Łobosa.

[2]) Zob. w związku z tą oceną list Rostafińskiego, który prostuje mimowolną niejasność pewnego ustępu swego dzieła (*„Łowiec“* 1916. str. 12.).

„MORITURI“.

Panu K. Strzemię w odpowiedzi.

(Łowiec Nr. 8. z 1928 r.).

Pozwalając sobie uznać temat poruszony przez Szanownego Autora za kwestję wielkiej wagi dla spraw łowieckich i za sprawę zasadniczą w epoce rozwielmożnionego „myślistwa“, myślistwa demokratyzującego ten piękny kunszt aż do absurdu, — kreślę tych słów kilka w mniemaniu, że zostaną właściwie przez Szan. Pana zrozumiane.

Nie mogę tu poruszać kompetencji wielce zasłużonego na polu łowiectwa Małopolskiego Towarzystwa tem więcej, że się już w tej kwestji wypowiedziała Szanowna Redakcja, — nie będę również rozczarowywał Pana C. C. G. w Jego marzeniach o spotkaniu rysia podczas pieśni głuszcowej, — nie chodzi mi również o przekonywanie Sz. Autora o swojej racji, boć są to rzeczy względne, ale zasadniczo występuję przeciwko wszelkiemu inicjowaniu bezwzględności w stosunku do jakiejkolwiek zwierzyny.

Kwestja „pożyteczności“ i „szkodliwości musi być wyeliminowaną całkowicie z wszelkich dyskusyj na tematy myśliwskie, tembardziej z dyskusji publicznej.

Nie mogę się poszczycić dokładną znajomością stosunków łowieckich w Małopolsce, ale znam dobrze inne połacie naszego kraju i twierdzę stanowczo, że niema zwierzyny, którejby się nie należała, choćby najkrótsza ochrona w czasie lęgowym.

Już w monografji swojej o lisie, napisanej kilka lat temu, a drukowanej częściowo w b. „Przeglądzie Myśliwskim“ i „Łowcu Polskim“, dotychczas w całości niewydanej, uzasadniałem słuszność mego poglądu, przytaczając szereg danych, których tu powtarzać nie będę.

Pisząc tę właśnie monografję, byłem przekonany, że lisowi zostanie wyznaczony w zapowiadanej wtedy nowej ustawie łowieckiej chociaż dwumiesięczny czas ochronny na okres pomiotu i karmienia piersią matki.

Niestety.

A lisy to przecież plebs w porównaniu z rysiem.

Nie wolno nam, myśliwym współczesnej Europy, podpisywać wyroki śmierci na cokolwiek, cóż dopiero na zwierza (mówmy szczerze) zanikającego.

Nawet te właśnie prześladowane przez człowieka drapieżniki, są bardziej „ludzkie“ i etyczne od nas w stosunku np. do niedołężnych potomków swych kuzynów.

Lis chętnie opiekuje się i żywi zgraję małych, obcych lisków, osieroconych przez matkę w okresie lata, a więc w tym czasie, gdy młode same nie mogą sobie jeszcze radzić.

Wogóle różnicowanie świata zwierzęcego na pożyteczny i szkodliwy, musimy uznać za logiczny wniosek egoistycznych upragnień człowieka.

Natura potrafi hodować rysia, żbika, lisa i wilka obok t. zw. przez nas pożytecznej zwierzyny.

Nie znaczy to bynajmniej, abym się zgadzał na pozostawienie samej naturze drugiej połowy ludzkich poczynań, za jaką uchodzi sztuczna hodowla zwierzyny szlachetnej.

Hodując w znacznem skupieniu zwierzynę pożyteczną, nie wolno jest tolerować obecności krwiożerczego rysia lub lisa, ale — warunek — w znacznej ilości; boć zgodzą się ze mną chyba starsi praktycy, że warto jest poświęcić nawet kilkanaście sarn rocznie dla urozmaicenia pokotu.

Zresztą obecność t. zw. drapieżników w gospodarstwie hodowlanem, w ilości regulowanej ręką ludzką, jest nietylko nieszkodliwą, ale w okresach np. epidemji wprost zbawienną, a w życiu codziennem nawet pożądaną dla względów, których tu wyjaśniać nie mogę, z uwagi na ramy zakreślone tematem.

„Niema obawy, pisze Szanowny Autor, aby ryś... przestał istnieć“. A mnie, obserwującemu bezlitosne tępienie zwierzyny w okresie powojennym, zdaje się, że taka obawa powinna Istnieć.

Trzeba się pogodzić z rzeczywistością plagi masowych narodzin powojennych Nemrodów, którzy przed wojną znali strzelbę z witryny składu broni, a marnego szaraka w skórce widywali zaledwie u B-ci Pakulskich; dziś rozprawiają natomiast o łowiectwie z takim tupetem, jakby wyrośli rzeczywiście w atmosferze tradycji Weyssenhoffów lub Krzywoszewskich.

Tych panów, duchowy świat łowiecki, uprawiający sztukę dla sztuki, polujący i używający polowania z potrzeby psychologicznej a nie fiskalnej, myśliwi z krwi i kości, z dziada pradziada, muszą tymczasem tolerować, jako naleciałość tak, jak i wszystkie inne płody zmian ustroju społecznego.

Prawdą atoli bezwzględną jest nakaz wewnętrzny każdego „przedwojennego“ myśliwego, aby nie dopuścić do ostatecznego unicestwienia wszystkiego, co się porusza i za co w tej, czy innej formie można otrzymać pieniądze.

Pamiętam i znam b. dobrze stosunki w Puszczy Białowieskiej. Przecież należę do nielicznego grona tych, którzy nieraz widywali po kilkanaście żubrów na swobodzie, bo w miejscu nieogrodzonem się pasących.

Nie mówmy zresztą o żubrach, bo zwierz ten i wtedy był w zaniku, ale niech Szanownemu Autorowi wystarczy smutny obraz poleskiej kniei, gdzie przed wojną, pamiętam, w jednym miocie było 14 łosi, — dziś kilkunastoletni chłopcy słuchają w tych okolicach opowiadań ojcowskich o tym pięknym zwierzu, którego liczono przecież wtedy na tysiące na obszarach obecnej Rzeczypospolitej.

A — wiewiórka.

U nas, na Podlasiu, była tak pospolita, niemal jak jaskółki lub wróble. Od kilku lat, nigdy mi już na stanowisku ten miły skoczek leśny nie zamącił ciszy.

Rysia, o którego się spór toczy, miałem na strzał zaledwie raz w życiu, a polowałem b. wiele nie tylko w Polsce ale i w głębokiej Rosji, gdzie zwierz ten jest bez porównania pospolitszy niż u nas.

Nie mogę się pogodzić z myślą, abyśmy go mieli „jeszcze zawiele“.

Być może, że w Karpatach są rewiry specjalnie umiłowane przez rysie i że w tych rewirach czynią one znaczniejsze szkody w zwierzynie, nie jest to jednak *casus belli* przeciwko rodowi rysiemu.

Kłusownik, któremu żadna najlepsza nawet ustawa łowiecka nie przeszkodzi — ze względu na cenę skóry rysiej, postara się o odstrzał nadmiernej ich liczby.

W naturze wszystko jest wysoko celowe i każdy zwierz podlega tej celowości, która w rozumowaniu naturalnem musi nas doprowadzić do wniosku, że wszystko co istnieje, pożytecznem się zowie, nawet, nawet... *homo sapiens*.

Jerzy Dylewski.



JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

O ZWIERZYŃCU W ZAMOŚCIU

Zamość, kolebka i gród wielkiego kanclerza i hetmana Jana Zamojskiego, ongiś twierdza i siedziba Akademji Zamojskiej, położona nad rzeką Topolnicą, dziś miasto powiatowe, posiada w swych murach rzecz godną uwagi i niecodzienną. Jest nią „Ogród przyrodniczy państwowych szkół średnich“, założony w 1919 r. na skraju miasta, początkowo na małym skrawku podwórza państw. gimnazjum i państw. seminarjum żeńskiego, obejmujący dziś przestrzeń około 2 morgów. W ramach jego, dopiero po trzech latach powstał ogród zoologiczny, dziś zwierzyniec imponujący, z którego istnienia miasto liczące zaledwie 19.000 ludności, naprawdę może być dumne i słusznie się szczycić.

Drobna napozór rzecz dała początek zwierzyńcowi. Oto pewien uczeń przyniósł do szkoły żółwia; umieszczono go w „basenie“ dość prymitywnym, bo w balji wkopanej w ziemię. Nocą, żółw niezadowolony widocznie z takiego zakwaterowania, powędrował w świat ku prawdziwej rozpaczy młodzieży szkolnej. Rozpoczęły się poszukiwania i zbiega znaleziono w ogrodzie komendy żandarmerji, oddalonym o paręset metrów. Wykopano wtedy głębszy dół, ściany ocementowano i wpuszczono do tak sporządzonego „stawku“ żółwia-dezertera. To terytorjum dało początek zwierzyńcowi i dziś oprócz kilkunastu żółwi, posiada Ogród liczne węże, jaszczurki, żaby, traszki, salamandry i t. p. gady i płazy. Akwarjum długości 12 m, szerokości 8 m i głębokości do 1 m, zarosłe trzciną, tatarakiem i lilją wodną, posiada karpie, liny, karasie, piskorze i żółwie poleskie. W osobnem akwarjum widzimy suma w otoczeniu różnych małych ryb.

Ptaszarnia o podstawie 7×4 m i wysokości do 5 m również bogato zaopatrzona. Znajdujemy tu dzikie gołębie, kuropatwy, kurki wodne, czajki, drozdy, kosy, dzwońce, zięby, sikorki, przepiórki, gile, czyże, szczygły, wilgi i wróble. Otaczane sercem, pielęgnowane po ojcowsku, oswoiły się tak dalece, że na zawołanie bez obawy przylatują do ręki. W osobnych pomieszczeniach przebywają ptaki drapieżne, jak oswojony od małego orzeł krzykliwy, nadesłany z Podkarpacia, orzeł skalny, z okolic Stryja, różne gatunki jastrzębi i myszołowów, jest pustułka oswojona i puszczyk, oraz kilka przedstawicieli sów, jak pójdźka i uszata leśna, oraz puhacz, dar p. Niklewicza; jest wreszcie kruk, gawron, kawka i sroka. Papugi, a wśród nich białe kakadu ze złotym czubem i kanarki, umieszczone w oddzielnych klatkach obok altany otoczonej rododendronami, wylęgają co roku młode, przeznaczane później na loterję fantową, w czasie zabaw i koncertów urządzanych na dochód Ogrodu. Oswojony bocian chodzi po ogrodzie jak po łące, biorąc pożywienie z ręki, a szczególnie ser, który jest jego ulubionym przysmakiem. Przy wejściu na sporej łączce, przechadzają się z rozportartemi ogonami dumne pawie, bardzo często w zgodliwem towarzystwie oswojonych gołębi. Na stawku, o brzegach porosłych wodnemi roślinami, pluskają się dzikie kaczki-krzyżówki, oswojone jak domowe, które co roku wywodzą potomstwo. Z gryzoniów pomieszczonych w ładnym i obszernym budynku, widzimy zwinne wiewiórki, mrukliwe morskie świnki, susły, które pozatem swobodnie przebywają w Ogrodzie, są wreszcie jeże, chomiki, białe myszy i skrokate szczury, koszatki i króliki. W dużych klatkach z rosochatemi dziuplastemi pniakami, znajduje się: oswojona kuna leśna, biegnąca na zawołanie do ręki, kuna domowa, łasica łaska i osobno tchórze, również całkiem ułaskawione.



Ogólny widok centrum Ogrodu

Na ograniczonej płotem przestrzeni żył dzik, oswojony i przychodzący do ręki, padł jednak tej zimy na czerwonkę. Dwa borsuki wiecznie bojaźliwe, śpią przez cały dzień latem, a nocą żerują. Obok znajduje się klatka z lisami. Jednego razu chytre te stworzenia zbiegły z niedomkniętej klatki. I oto co się dzieje? Około dwustu uczniów z dyrektorem gimnazjum i profesorami na czele, czyni wielką obławę, obstawiając park. Jednego lisa schwytano, drugi przedostał się przez ogrodzenie na wieś, gdzie po tygodniu złapali go chłopi. Ogród musiał zapłacić 10 zł odszkodowania za rzekome szkody w drobiu.

C. d. n.

Do artykułu

„Nieścisłe informacje o czasach ochronnych“.

Vide zeszyty „Łowca“ 8 i 9 z r. 1928.

W majowym zeszycie „Łowca“ (Nr. 9) spotkałem wyjaśnienie p. J. Ejsmonda, pomieszczone tam pod powyżej podanym tytułem w sprawie podniesionych przezemnie sprzeczności między art. 49-tym „Prawa łowieckiego“ a twierdzeniem Kalendarza myśliwskiego, według którego polowanie na łosie, dropie i woltyżerkę naszych lasów, powabną wiewiórkę, jest bezwzględnie zakazanem, podczas gdy „Prawo łowieckie“ wyraźnie postanawia dla tych zwierząt tylko ściśle ograniczone czasy ochronne.

Wykazując tę sprzeczność, dedukowałem logicznie, że „większym jest Pan Bóg aniżeli Pan Rymsza“ i że raczej polegać należy na „Prawie“ aniżeli na Kalendarzu, w którego redakcję wkraść się mogły omyłki i nieścisłości — dedukowałem dalej, że ponieważ „Prawo“ ustanawia dla pewnych zwierząt czasy ochronne ściśle ograniczone, to również i tem samem pozwala polować na te same zwierzęta w innej porze nie objętej czasem ochronnym. — To też prosiłem o wyjaśnienie tych sprzeczności, a dedukcje moje nie uważałem ani za ostateczną „informację“ czy też „radę“, dla nikogo, ani też nie miałem zamiaru wprowadzenia kogokolwiek w „niesłychanie szkodliwy błąd“ a tylko dążyłem do wyjaśnienia tego, co mi się sprzecznem wydawało.

Obecnie, gdy to wyjaśnienie, z najmiarodajniejszego źródła nastąpiło, wiem ja, a wraz ze mną i liczne rzesze myśliwych, że zbłądziłem, a natomiast że „Kalendarz“ ma rację. Błądząc jednak, nie znałem nowego rozporządzenia Ministerstwa rolnictwa z dn. 10. I. 1928. a przypuszczam, że ten mój obskurantyzm, przejmujący Sz. Autora takiem „zdumieniem“, dzieliło ze mną conajmniej 9/10 myśliwych, nie będących zazwyczaj nałogowymi czytelnikami Dziennika Ustaw. — W imieniu własnem i tej reszty analfabetów rozporządzeniowych, dziękuję Sz. Autorowi za to pouczenie, które ochronić nas może od sześciotygodniowej kozy i 500 zł. grzywny w wypadku popełnienia morderczego zamachu na wiewiórkę.

Pełnemu memu zadowoleniu przeszkadza jednak jeszcze fakt, że Sz. Autor przemilcza zupełnie inne moje uwagi o „Kalendarzu“, a mianowicie moje sprostowanie twierdzeń kalendarza o fizjologicznych przejawach życia zwierząt łownych — sprzecznych z tem, co dotąd mówiły wiedza i praktyka. — Czyżby i pod tym względem istniały jakieś nowe, nieznane nam naukowe zdobycze?

Zaznaczam w końcu, że najłatwiejszą rzeczą było uniknięcie wszelkich niejasności i pozornych sprzeczności między „Prawem“ a „Kalendarzem“ przez umieszczenie w Kalendarzu wzmianki o owem rozporządzeniu Min. Roln. z dnia 10. I. 1928, zmieniającem w pewnych punktach postanowienia art. 49 Prawa łowieckiego — co Kalendarz, jako dzieło specjalnie „informacyjne“ powinien był podkreślić.

Aleksander Przedrzymirski.



KAZIMIERA GŁĘBOCKA

Strzał w lesie

czyli

Kto zabił?

(Humoreska)

I

Był piękny, jasny dzień jesienny. Słońce przygrzewało jeszcze, złocąc cały świat. Wierzchołki drzew, okrytych barwnem, jesiennem listowiem, odcinały się rdzawozłocistemi plamami na błękitnem tle nieba. Niekiedy hen! pod niebem wysokiem przeciągał klucz czujnych żórawi. I niekiedy tylko z daleka, z daleka dolatywał głuchy odgłos, niby grzmot podziemny, lub daleki bardzo huk armat.

Zresztą spokojnie było dokoła. Przed chałupą na ławie siedzieli sobie w słońcu dwaj oficerowie, paląc papierosy i rozmawiając półgłosem. Pierwszy z nich — major i dowódca rozmieszczonego tu po wsiach dywizjonu artylerji, tłusty i nieco astmatyczny jegomość, wyglądał na człowieka ponad wszystko ceniącego spokój i dobre jedzenie. Jego okrągła, dobroduszna twarz i przeróżne zaokrąglenia całej postaci mówiły wyraźnie, że ten wojownik nigdy chyba zbyt długo nie przymierał głodem.

Siedzący z majorem, kapitan Prus, znany myśliwy i sportsmen, tworzył tu jakoby zasadnicze przeciwieństwo towarzysza. Mały, suchy, kłótliwy, z gębą wiecznie skrzywioną, miał mir u przełożonych i kolegów dla swej wielkiej służbistości i odwagi. Zresztą był niesłychanie popędliwy i lada drobnostka przyprawiała go o pasję. Żył właściwie w stanie nieustannej irytacji.

Tak i teraz.

Rozejrzał się, czy kto nie podsłuchuje, podskoczył na ławce i jął syczeć cicho i z pasją.

— Dam sobie głowę uciąć, że go jaka jucha sprzątnie, majorze. Napewno. Jak drut. Mówię, że głowę daję!

— Ale — co mi tam po waszej głowie! Bajanie mospanie. Ot, zapowie się ludzion zaraz, że rogacz jest

Wielkie zawody strzeleckie w Stanisławowie.

W drugiej połowie maja 1928 r. odbędą się w Stanisławowie I-sze Wojewódzkie Zawody Strzeleckie Rejonu P. W. 11-tej Dywizji piechoty, z następującym programem:

DZIEŃ 1-SZY.

Strzelanie Nr. 1.

Zawody o „Mistrzostwo P. W. Województwa Stanisławowsklego“ i zawody „Eliminacyjne“ z broni wojskowej, odległość 100 metrów.

Strzelanie Nr. 2.

Zawody z broni krótkiej (pistoletów) do figur polowych na odległości 10-50 metrów.

Strzelanie Nr. 3.

Zawody z broni małokalibrowej kaliber 5·58 (floberty), na odległości 50 metrów.

DZIEŃ 2-GI.

Strzelanie Nr. 4.

Zawody o „Mistrzostwo Stanisławowa“ z broni wojskowej na odległości 200 metrów.

Strzelanie Nr. 5.

Zawody o „Mistrzostwo 11. D. P.“ z broni wojskowej, na r. 1928. do tarczy i figur polowych na odległości 300 metrów. Po oddaniu strzałów do tarczy, zawodnik obciążony plecakiem z ciężarem 25 kilogramów i z bronią w ręku, wykonuje 50-cio metrowy bieg, poczem przystępuje niezwłocznie do dalszych zawodów w strzelaniu do figur polowych, ukazujących się na przeciąg jednej minuty. Ilość strzałów nieograniczona.

Strzelanie myśliwskie Nr. 1. (kulą)

Strzał pojedyńczy do jelenia w biegu z odległości 50-ciu m.

Strzelanie myśliwskie Nr. 2. (kulą) o nagrodę wojska.

Strzał podwójny do lisa w biegu, z odległości 50-ciu metrów.

Strzelanie myśliwskie Nr. 3.

Dublet do pary dzików. Odległość 60 m.

Strzelanie myśliwskie Nr. 4. z myśliwskiej broni śrutowej do glinianych krążków o nagrodę Pana Wojewody stanisławowskiego.

Przy strzelaniach myśliwskich dopuszczalny jest wszelki system broni ręcznej.

UCZESTNICY - ZGŁOSZENIA.

Do zawodów stanąć mogą:

1. Członkowie przysposobienia wojskowego;
2. Obywatele płci obojga, zamieszkali na terenie Województwa stanisławowskiego.
3. Wojskowi z garnizonów: Stanisławów, Stryj, Kołomyja.

Zgłoszenia uczestników nadsyłać należy na ręce kierownika zawodów, Pułk. sztab. Gen. Pieniążka, Stanisławów, ul. Kamińskiego 15. z podaniem:

a) w jakim strzelaniu chce uczestnik wziąć udział;

b) czy reflektuje na nocleg bezpłatny w koszarach, lub płatny w hotelu.

Ostateczny termin zgłoszeń 14. maja 1928. *)

Taksa strzelecka.

Zawodnicy w strzelaniu z broni wojskowej uiścić winni 1. Zł.; zawodnicy w strzelaniu myśliwskiem po 5. Zł., jako taksę strzelecką, płatną w dniu zawodów. Taksa obejmuje wszystkie strzelania.

*) Żałujemy, że Komitet urządzający powyższe strzelanie przysłał nam powyższe ogłoszenie już po terminie zgłoszeń, przypuszczamy jednak, że nasi członkowie zgłaszający się z konieczności później, do zawodów dopuszczeni zostaną. *Red.*

---

przeznaczony dla pułkownika, który ma jutro przyjechać i basta.

— Wiem, wiem, że skoro go ludzie nie ubili dotąd, to go nie zagałuszą, ale, ale — który z tego — no z oficerów.

— Aha — oficerowie, to nie ludzie. Ale mniejsza. Zaś co do kozła, to bądźcie spokojni. Bo skoro ja sam odmawiam sobie przyjemności ubicia go, to któżby się tam ośmielił! Nie, nie. Tu, choć dość daleko od frontu, rzadko zdarza się okazja upolowania rogacza, więc właśnie dlatego umyśliłem sobie, by go przeznaczyć dla pułkownika. Nie będzie żadnych pretensji i zazdrości. Sami powiedzcie — czy to zła kombinacja?

Tu małe oczka majora badawczo i z leciutką ironją spojrzały na rozgorzałą dziwnie twarz Prusa. Ten zaś odwrócił nieco wzrok, nie zdając się zbytnio zachwycać owemi kombinacjami. Natomiast spytał żywo.

— I to głupi Walek widział wczoraj wieczorem kozła? Czy aby prawda?

— A jakże! — odparł major — przecie Spychała był także i widział rogacza dobrze. Zresztą mówił mi Spychała, że on już od trzech dni widywał jedną sztukę, tylko nie był pewny, czy to rogacz. A wczoraj widział dobrze. Kozioł wychodzi przed wieczorem i żeruje sobie na polance koło wysokich brzózek.

Prusa poderwało znów z ławki.

— Ha — czy wy wiecie, majorze, że gdyby tak wyjść tu od strony waszej kwatery, to ot tu zaraz można zapaść w leszczynę i dojść nią aż do lasu, przez łąki?

— Wiem, wiem i właśnie tędy chcę jutro poprowadzić pułkownika, bo to i bliżej znacznie.

— Do djabła tam z pułkownikiem! — żachnął się Prus — Kto go wie, czy jeszcze nie spudłuje! — I wiecie — ja się dziwię, że tak zamiłowany strzelec, jak wy, odstępuje komuś przyjemność ubicia kapitalnego kozła.

Major kichnął potężnie. Poczem rozłożył ręce i rzekł powoli.

— Cóż robić, kochany! Zawsze trzeba myśleć o innych. Ha — psiakość, katar! (Znów kichnął). C. d. n.

Dojazd na strzelnicę.

Dojazd na strzelnicę zapewniony będzie przez stałe kursowanie samochodów (za opłatą) oraz podwód wojskowych (bezpłatnie).

Dzień zawodów ogłoszony będzie w prasie na 3 dni przed ich rozpoczęciem.



ADAM REMISZEWSKI

Kilka słów o Polskiem Prawie Łowieckiem.

(Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z 3. grudnia 1927 r. Dz. U. R. P. Nr. 110. poz. 935).

(Ciąg dalszy)

JAK POWSTAJĄ OBWODY ŁOWIECKIE?

O sposobie powstania obwodu łowieckiego mówi art. 12., bez użycia terminu „obwód łowiecki własny", lub „obwód łowiecki wspólny". Należy przeto przyjąć, że ustawodawca miał tu na myśli obydwa rodzaje obwodów łowieckich.

Otóż obwód łowiecki (tak własny jak i wspólny) powstaje po upływie miesiąca od dnia zgłoszenia go przez właściciela lub właścicieli gruntów, w jego skład wchodzących — do właściwego starosty.

Starosta w ciągu jednego miesiąca odmówi zarejestrowania, jeżeli zgłoszenie nie odpowiada ustawowym warunkom (art. 6—11).

Wynika z tego, że jeżeli starosta w ciągu miesiąca nie odmówi zarejestrowania, obwód łowiecki powstaje po upływie miesiąca od dnia zgłoszenia z samego prawa, poczem starosta musi go zarejestrować. Powstanie jednak z samego prawa obwodu łowieckiego, który ustawowym warunkom nie odpowiada, niema większego znaczenia, gdyż art. 12. w dalszym ciągu wkłada na starostę obowiązek zniesienia obwodu, jeżeli on po zarejestrowaniu przestanie odpowiadać warunkom z art. 6 –11.

Zarejestrowanie obwodu łowieckiego przez starostę następuje na podstawie wniosku właściciela, lub właścicieli gruntów.

Jeżeli chodzi o obwody łowieckie własne, to zgłoszone one być mają za pośrednictwem zarządu gminy, która stwierdzi, czy wiadomości podane w zgłoszeniu są zgodne z rzeczywistością, oraz zaświadczy tożsamość osób na zgłoszeniu podpisanych (art. 15).

Zgłoszenie takie musi oczywiście zawierać dowody, że odnośny obszar gruntu odpowiada warunkom art. 6. t. j., że obejmuje nie mniej niż 100 ha i że stanowi przestrzeń ciągłą (patrz przytem art. 11).

Rozumie się samo przez się, że w zgłoszeniu trzeba zapodać obszar gruntu i jego położenie, a do zgłoszenia dołączyć szkic sytuacyjny, o ile już dawniej takiego szkicu, zgodnego z obecnym stanem faktycznym w Starostwie nie złożono.

Co do obwodów wspólnych, to zgłoszenia dokonują zasadniczo wszyscy właściciele gruntów w skład obwodu wejść mających. Gdy jednak niema jednomyślności, a utworzeniu wspólnego obwodu sprzeciwiają się właściciele gruntów, stanowiących m n i e j n i ż p o ł o w ę obszaru niezbędnego do utworzenia obwodu, wówczas mimo ich sprzeciwu, obwód wspólny będzie utworzony na podstawie wniosku właścicieli gruntów stanowiących więcej niż połowę tego obszaru (art. 13).

Taki wniosek większości wyrażony być ma w zgłoszeniu ze szczegółowem wymienieniem gruntów i ich właścicieli, którzy należeć będą do spółki łowieckiej obwodu art. 14), oraz ze wskazaniem tych gruntów, których właściciele sprzeciwiają się utworzeniu wspólnego obwodu łowieckiego.

Brzmienie art. 13. budzi pewne, dość poważne wątpliwości, szczególnie w zestawieniu ze wspomnianym wyżej art. 8.

Przedewszystkiem nasuwa się pytanie, co się ma stać, jeśli właściciele gruntów stanowiących więcej niż połowę obszaru pewnej gminy nie życzą sobie utworzenia wspólnego obwodu. Ustawa nie daje odpowiedzi. Przyjąć zależy, że obwód wspólny w takim wypadku nie powstaje, a prawo polowania w takiej gminie wogóle użytkowane być nie może, ponieważ brak kardynalnego warunku, a to zarejestrowania obwodu przez starostę.

Tam zaś, gdzie niema zarejestrowanego obwodu, polować nie wolno pod odpowiedzialnością karną (art. 76).

Jak wspomniano wyżej, art. 8. stawia, jako zasadę, że obwód łowiecki wspólny obejmować winien cały obszar gminy. Wyjątkowo, gdy obszar ten liczy conajmniej 1000 ha, mogą powstać obwody wspólne, conajmniej 500 ha obejmujące.

Conajmniej 100 ha obwody mogą być tworzone, gdy grunty gminy nie przylegają do siebie.

Otóż art. 13. mówiący o podporządkowaniu się mniejszości woli większości używa określenia „obszar niezbędny do utworzenia obwodu“.

Taki obszar niezbędny, jak wiemy z art. 7. wynosi nie mniej, niż 100 ha.

Co się ma stać wtedy, gdy obszar gruntów pewnej gminy wynosi ciągłej powierzchni n. p. 400 ha, a właściciele tylko 60 ha żądają utworzenia wspólnego obwodu?

Stanowią oni większość, gdyż w myśl art. 7. obszar niezbędny wynosi 100 ha. Mniejszość stanowią właściciele 40 ha. Ale jak ich oznaczyć, skoro faktycznie właściciele 340 ha w tej gminie sprzeciwili się utworzeniu obwodu?

Aby nie doprowadzić do absurdu, należy przyjąć, że „obszar niezbędny“ w art. 13. wspomniany obejmuje grunty całej gminy, względnie gdy w gminie znajdują się obszary nie łączące się ze sobą (art. 8. ust. 3) — całość każdego z tych obszarów.

Zasadniczo wyjaśnić tę sprawę mogłaby tylko autentyczna interpretacja ustawodawcy.

Zgłoszenie wniosku do starosty, dotyczące ustanowienia obwodu łowieckiego wspólnego następuje za pośrednictwem zarządu gminy, względnie, o ile obwód obejmuje grunty położone w kilku gminach, za pośrednictwem każdej gminy, w której leży część zgłoszonego obwodu.

Zgłoszenie to sprawdzone i zaświadczone przesyła zarząd gminy starościе (art. 15. i 16).

Obwód łowiecki własny powstaje na tak długo, jak tego sobie życzy właściciel, najkrócej jednak do końca terminu dzierżawy, jeżeli polowanie zostało wydzierżawione (art. 6). C. d. n.



Korespondencje

Iwanie Złote, w marcu 1928.

Rok ubiegły zapisał się naogół pomyślnie w kartach historji terenów łowieckich w powiecie zaleszczyckim. Wytężona praca w kierunku podniesienia łowisk do stanu kultury rozpoczęta od szeregu lat przez zamiłowanych hodowców, daje pomyślne rezultaty — co dziś już z przyjemnością stwierdzić mogę. Przyrodzone warunki fizjograficzne sprzyjają rozmnoży zwierza. Część zachodnią powiatu odgranicza od powiatu buczackiego rzeka Strypa, wpadająca do Dniestru, we wschodniej częci miejsce jej zajmuje Seret, tworząc niemniej piękną panoramę w formie kenionów i naturalnych rzeźb terenu. Od południa zamyka powiat rzeka Dniestr, żłobiąc znane ze swej krasy jary. Północna część powiatu zlewa się z powiatem czortkowskim bez wyraźnych odgraniczeń terenowych. Na całej przestrzeni powiatu rozsiadły się większe kompleksy lasowe. Drzewostan w nich przeważnie grubo-dębowy z gęstą domieszką chwastów leśnych jak iwa, kruszyna, głóg i leszczyna, naogół wykazują niską kulturę, są fatalnie przeniszczone przez przesuwające się armie z czasów wojny światowej, niemal wszędzie pocięte rowami strzeleckiemi, usłane setkami mogił i walających się w bezładzie kości ludzkich. Pozatem rzuca się w oczy bezplanowo prowadzony wyrąb, powodem zaś tego w przeważnej mierze jest ruina warsztatów rolnych, a co za tem idzie, potrzeba zdobycia odpowiednich kapitałów do ich uruchomienia. Konfiguracja terenu dla bytowania i rozmnoży zwierza nad wyraz sprzyjająca, przeważna bowiem część naszych lasów, to ścianki nad Dniestrem, Strypą i Seretem, przecięte licznemi parowami, rozmaicie pofalowane, trudno dostępne, stanowiące dla zwierza naturalną ochronę. By móc poznać ich krasę i powab, musi się je znać i widzieć w każdej porze roku; czy to wczesną wiosną, gdy o wstającem słońcu spowite w białe opary mgieł śmieją się swym czarem do duszy rozmiłowanego w nich łowcy, czy późnem latem, gdy w swym majestacie zielonej szaty przemawiają do niego pełnią życia, czy też przyobleczone jesienią w purpurę zaszumią smętną pieśń gasnącego czasowo żywota; a już czar swój i piękno wszechstronne nacechowane prastarą świetnością wykazują zimową porą, kiedy otulone w śnieżną biel dostępne są łowcy i pieszczot nie szczędzą i darzą go hojnie za wielkie ich umiłowanie, składają mu haracz ze swego żywego skarbca. Zwierz wszelki znajduje dobre w nich pomieszczenie, a przetrzebiony wojną w ostatnich latach rozmnożył się ponownie i doszedł do przedwojennej liczebności za małemi wyjątkami. Sprzyja jego rozmnoży gęstość zrębów, wspomniana już konfiguracja terenu i naogół pieczołowita opieka, oraz zasób

pokarmów spowodowany żyznością gleby. Zestawienie statystyczne rozkładów rokrocznych potwierdza moje wywody. Zwierzostan zajęcy w pierwszych latach po wojnie reprezentowany przez sporadyczne okazy, daje dziś piękne rozkłady, idące niejednokrotnie w setki; sarna, która w tym czasie była u nas niemal historycznym zwierzem (o czem lat parę temu wspominałem), już dziś poważnemi kierdelami chadza, a dzik, ów piękny zwierz, mianowany czarnym rycerzem kniei, znany był młodym myśliwym z opowiadań, lub z tu i ówdzie ocalałych trofeów — dziś jest licznie reprezentowany i coraz częściej zdobi swą powagą pokoty łowów. Lis naogół o wiele rzadszy niż dawniej. Tłumaczą to sobie tem, że słabe osobniki uległy w walce z pasożytem grzybka, pospolicie parchem zwanego (demodex fuliculorum — atakuje tylko canidy) — pozostałe, odporniejsze biorą się z nim dalej za bary. Dziwią mnie niepomiernie niektóre sprawozdania wyczytane w zeszytach „Łowca“, iż parch wspomniany ustąpił zupełnie, czego bezwarunkowo u nas stwierdzić nie mogłem, poddając ubite osobniki bardzo dokładnym oględzinom. Zupełnie zdrowego lisa nie widziałem dotychczas u nas, ani też nikt mi o takim nie opowiadał. Zmniejszenie ilości tego zwierza tłumaczy się w dalszym ciągu tem, że młode lisięta giną w znacznej ilości zarażone chorobą we wczesnej młodości, kiedy mają jeszcze za słaby organizm, by z nią skutecznie walczyć (stwierdziłem to u siebie osobiście). Co do kuropatw, to też możemy się poszczycić niepomiernym sukcesem. Niemal na każdym terenie spotyka się kilka lub kilkanaście stadek. Przypisuję to bezwzględnie zbawczej czteroletniej ochronie — jakkolwiek miałbym osobiście w tym kierunku pewne zastrzeżenia, które niestety nie są wytworem mych rozmyślań, a jedynie czystym sprawdzianem rzuconej, a przezemnie wyczytanej — nie powiem przez kogo i kiedy — uwagi na łamach „Łowca“. Autor pisał, że „daje się zauważyć za duży liczbowo stan kogutów w stosunku do kur“. Z tem stanowczo się zgadzam, wychodząc z założenia hodowlanego — nasuwa się jednak trudność w strzale, boć przecież niepodobieństwem jest, by przeciętny myśliwy (jakich niestety jest więcej) zdołał w tem sposób pokierować odstrzałem, by stworzyć ten stosunek, nie mówię idealnym, ale bodaj znośnym. Wypatrując sumiennie koguty w stadzie, traci się bardzo często możność strzału, a tem samem nasuwa się konieczność ponownego kilkakrotnego dochodzenia do kur; jeśli się zważy, że regulacja ta ma na celu podniesienie zwierzostanu — a zatem jest on w obecnej chwili słaby — to przez ustawiczne niepokojenie i wyszukiwanie kogutów na strzał rozpędza się stadka, które mogą się przenieść do sąsiedniego rewiru, niezawsze gościnnego. Dlatego przypuszczam, że mimo wszystko, korzystniej byłoby pozostawić ustosunkowywanie się płci samej naturze, natomiast przedłużyć ochronę, a wziąć się energiczniej do drapieżców. To stała nasza bolączka i na tem polu nie możemy się niestety pochwalić poważnym sukcesem. Trudności w tym kierunku znane mi z praktyki są znaczne — i tak: nasz gajowy, którego czynności są rozliczne, jest „czasem uczciwy“, a pojmuje swą służbę, jako pilnowanie obchodu jego pieczy powierzonego w zakresie gospodarstwa lasowego, a ma naogół słabe pojęcie o szkodniku w łowiectwie, wyłączając chyba kundla goniącego za zającem lub wałęsającego się po miotach, najczęściej strzela licho, a najchętniej do nieruchomych objektów — dalej niema się bezwzględnej pewności, do czego w danej chwili strzeli (naturalnie, znajdują się jak wszędzie szczęśliwe wyjątki); w najlepszym wypadku, o ile się jest pewnym jego uczciwości, może być użytym do tępienia kłusownictwa. Miarę szkodnika wycenia naogół wedle jego wielkości, a nie pouczony należycie, o ile ma w sobie umiłowanie łowiectwa, wali bez miłosierdzia wszystkie np. myszołowy, puszczając mniej groźnie wyglądającego gołębiarza. Na dowód tego co piszę, niech posłuży taki epizod:

Na jednem z polowań w tym sezonie miałem w pewnym miocie stanowisko flankowe; rozglądając się dokoła, widzę, jak gajowy, idąc obok nagonki, zaczyna nagle podchodzić małym jarkiem do stojącej na polu gruszy — pada strzał i wielki ptak, łomocąc skrzydłami, pada w śnieg. Ponieważ byłem niedaleko, przywołuję go do siebie i widzę jak niesie z tryumfem niewinnego myszołowa. Zaczynam mu tłumaczyć, że to jest ptak nieszkodliwy, że tępi jeno myszy, zasługuje na ochronę i t. d. Na to wszystko otrzymuję pewną siebie odpowiedź, że „win uże ne odnu kurku zjiw!“. Moje tłumaczenie ostatecznie przyjął, a jestem pewny, że w nie nie uwierzył. Jest on tam na miejscu gajowym od lat 12. Dlatego też każdy zamiłowany hodowca powinien bezwzględnie posiłkować się w walce ze skrzydlatemi drapieżnikami żelazkiem je chwytającem, nie pomijając szlachetniejszego, a dającego wiele emocji polowania z puhaczem. Dla kłusowników i wnykarzy zaczyna się smutny okres. Zbawcza nowa ustawa posiała między nimi należny postrach; ogół ich wie doskonale, co czeka niefortunnego, a przyłapanego amatora zakazanych łowów. Już pod koniec sezonu zauważyłem pewnego rodzaju wstrzemięźliwość łowiecką, tak, że przyszłość każe się spodziewać znacznej redukcji amatorów cudzej zwierzyny. Pod koniec chciałem imiennie wspomnieć o piękniejszych rewirach łowieckich lub takich, któreby mogły niemi przy dobrej chęci zostać. Jedną z najpiękniejszych kniei to Beremiany br. Heydlów; knieja ta otoczona pieczołowitą opieką gospodarzy, kryje w swych miotach liczne dziki, dużo sarn i moc zajęcy. Pięknym rewirem łowieckim jest Latacz, którego właściciel p. Krasnopolski jest zamiłowanym hodowcą. Z Lataczem sąsiadują Szutromińce, które mają nadzwyczajne warunki dla hodowli zwierza niezupełnie wykorzystane. Do Szutrominiec przylega rewir Uścieczko, malowniczo nad Dniestrem rozłożony, który roić się powinien od zwierzyny, jednakowoż hodowla jej stoi tam nisko; kłusownictwo kwitnie tu może najlepiej w powiecie — coprawda dość trudne warunki do zwalczania go — ale przecież przy wytężonej pracy dałoby się coś zrobić. Dzików strzelono tu 5. Piękne natomiast sąsiedztwo tego majątku to Czerwonogród, Marji ks. Lubomirskiej, zawsze w zwierza bogaty. Na jednodniowem polowaniu ubito w styczniu 108 zajęcy i 2 lisy, oraz strzelano do dzików, te jednak uszły szczęśliwie. Bardzo ładnym rewirem jest Torskie hr. Łosiów; liczny tu zwierzostan zajęczy, sarn bardzo dużo i wiele dzików, które się tu karmi kartoflami i koniną. W sezonie strzelono 13 sztuk, z tego część większą położył właściciel. Z Torskiem graniczy Iwanie złote, rewir podpisanego; zwierzostan zajęczy i sarni zadowalniający, dzików dość, strzelonych sztuk 6. Obok rozsiada się Żeżawa p. Jana Łukasiewicza, tworząc malownicze ścianki nad Dniestrem; stan zwierzyny bardzo ładny i otaczany należytą opieką. Jedna z najładniejszych kniei to Dzwiniacz p. Wartanowiczów, otoczony pełną troskliwością, o bardzo ładnym zwierzostanie, czego dowody mieliśmy zeszłego roku na pięknem polowaniu, gdzie zające sypały się, jak z rogu obfitości. Niestety lasy dźwiniackie otoczone są ornemi polami majętności Zaleszczyki, gdzie wprawdzie stan zajęcy, a zwłaszcza sarn wzrósł bardzo poważnie po wojnie — jednak liczne polowania ostatnich 2 lat, mojem zdaniem, pobrały za wielki haracz z tego prawdziwego skarbca; to też rok obecny wyka-

zał tam o 60% słabsze rozkłady, a odbił się poważnie na dzwiniackiej kniei z konieczności w tym roku szanowanej i nie opolowanej. Z obowiązku wspomnieć muszę o Lesiecznikach, których właściciel p. Bohosiewicz, zamiłowany hodowca i myśliwy, podniósł zwierzostan wspaniale — jest to dziś jeden z najładniejszych terenów łowieckich w powiecie. Z Lesiecznikami sąsiaduje klucz gródecki, który mimo nadzwyczajnych warunków nie dźwignął się dotychczas i nie myśli o dawnej świetności. Poza Gródkiem, leżącym nad jarami Seretu, znajdujemy już majątki bezleśne, gdzie jednak kotłowe polowania dawały w tym roku bardzo ładne wyniki; odnoszę to do Kościelisk, Zazuliniec i Kołodróbki.

Grzegorz Zerygiewicz.



Ukonstytuowanie Pierwszego Polskiego Instytutu Łowieckiego w Stanisławowie

nastąpiło w dniu 28. kwietnia 1928 w obecności Pana Wojewody Dr. Aleksandra Morawskiego, kilkudziesięciu członków założycieli i delegata M. T. Ł. Dr. Jerzego Rosienkiewicza. Po przyjęciu kilku drobnych poprawek w statucie, do zatwierdzenia przedłożyć się mającym, wybrano Zarząd, w skład którego weszli: Juljusz hr. Bielski, jako prezes, Adam Gorecki jako wiceprezes, inż. Mieczysław Beil, jako sekretarz, Juljan Salwach, jako skarbnik, Adam Rylski jako członek, Włodzimierz Barański i Kazimierz Piórkowski, jako zastępcy i inż. Stanisław Kamocki, jako dyrektor. W skład wybranej Komisji rewizyjnej weszli: Leopold Łysakowski, Tadeusz Kobylański i Andrzej Jakubowicz.

Również ukonstytuował się Łowiecki Związek Handlowy, Spółdzielnia z o. o. w Stanisławowie, gdzie do Rady nadzorczej wybrani zostali: Zdzisław Czaykowski, Henryk Prek, Adam Rylski, Walerjan Niedźwiecki, Włodzimierz Barański i Małopolskie Towarzystwo Łowieckie, zaś do Dyrekcji weszli: inż. Stanisław Kamocki, Zygmunt Machnowski, Jan Gołębski i Dr. Moysa Rosochacki.

Teka myśliwska.

Teka myśliwska artysty malarza prof. Kazimierza Sichulskiego wyszła w wykonaniu Zakładu Graficznego Piller-Neumann we Lwowie. Zawiera ona 10 tablic artystycznie wykonanych, przedstawiających sceny myśliwskie i zwierzęta łowne (jeleń, dzik, wilki, głuszec, łoś, niedźwiedź, lis i ryś).

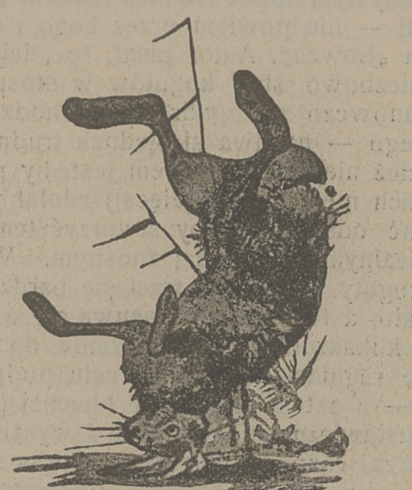
Do nabycia w biurze Małop. Tow. Łow. Ossolińskich 11. — Cena 100 zł.

Od Administracji!

P. T. Członków i Prenumeratorów „Łowca" uprzejmie prosimy zbędne numery „Łowca" z lat od 1879 do 1927 odstąpić Administracji, za ewentualną zamianą lub wynagrodzeniem.

Na ołtarz św. Huberta w dalszym ciągu złozyli:

Rauchberger Fryderyk zł. 5·—, Ansion Kazimierz zł. 6·—, Madeyska Janina zł. 20·—, Gutkowski Bronisław zł. 5·—, Stecki Józef zł. 50·—, Towarzystwo Łowieckie w Jaworowie zamiast wieńca na trumnę ś. p. Karola Falkiewicza zł. 25·—.



Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 7·50 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Z Drukarni Narodowej, Lwów, Szajnochy 2. — Tel. 21-35.